Rok VI. 9 Grudnia 1934. Nr. 50

DZWONECZEK

O ŚWICIE ZIMOWYM.

Jednym z najmilszych okresów Roku kościelnego jest Adwent, obchodzony na pamiątkę tysięcy lat oczekiwania przez ludzkość Mesjasza. Ukochanem w czasie Adwentu nabożeństwem są Roraty, których nie zna żaden inny kraj na świecie poza Polską. Jakiemiż radosnemi gromadami spieszą wszyscy o szarym świcie zimowym do kościołów, zwłaszcza na wsi, gdzie to nieraz trzeba z parę kilometrów drogi odbyć po nocy do oddalonej świątyni. Toteż ludzie wybierają się tam najczęściej z latarkami, by sobie niemi oświecać wertepy zawiane śniegiem.

Roraty wzięły swoją nazwę od słów zaczynających mszę adwentową „Rorate coeli“, czyli po polsku „Spuśćcie rosę, niebiosa“, odprawiane zaś bywają jeszcze przed nadejściem dnia, dla wyrażenia, że taka właśnie noc dla dusz panowała przed przyjściem na świat Zbawiciela, którego zjawienie się poprzedziła Najświętsza Marja Panna, niby Jutrzenka przed Słońcem. Na Jej to bowiem cześć i chwałę odbywają się Roraty i Ją to właśnie wyobraża w ołtarzu najwyżej stojąca siódma świeca, białą lub błękitną opasana wstęgą.

I dlatego też w grudniu, w okresie Adwentu, przypada Jej święto Niepokalanego Poczęcia, ponieważ Ona przyszła na świat jeszcze wtedy, gdy wśród nocy grzechu „czart panował, śmierć i trwoga, a ciężkie przewinienia zamkły bramy zbawienia“. Ona dopiero, Najświętsza Panna, stać się miała tą, która przez porodzenie Zbawcy otwarła nanowo utracone Niebo.

Do walki z ciemnotą!

Niespodziewana a przerażająca przeleciała przez cały kraj nowina. Najświeższe obliczenia wykazały, że w Polsce jest aż siedm miljonów analfabetów, to znaczy ludzi nie umiejących czytać ni pisać. Siedm miljonów! Czy umiecie, kochane dzieci, wyobrazić sobie, co to za olbrzymia ilość, co to za armja prawie nie do przeliczenia takich, do których zupełnie nie ma przystępu oświata, dla których książka mogłaby wcale nie istnieć na świecie, dla których wszelkie, pisane czy drukowane, słowo stanowi zagadkę nie do rozwiązania.

Siedm miljonów! Bywają na świecie narody składające się wogóle z siedmiu miljonów obywateli. I taki cały naród nie czytający i nie piszący mieści się w polskim narodzie, który przecież słynie po świecie jako jeden z najbardziej kulturalnych. A jednak tyle w nim jeszcze ciemnoty! Oczywiście, że gdyby Polska w swem życiu nie była liczyła półtorawiekowego okresu niewoli, gdyby przez ten czas długi sama się była rządziła, jużby dawno analfabetyzm zniknął z naszej ziemi może i bez śladu. Ale wrogowie, którzy nam Ojczyznę rozdarli, właśnie tego chcieli, by naród utrzymać jaknajdłużej w ciemnocie i niewiele dbali o szkolnictwo.

Od chwili wskrzeszenia Państwa Polskiego poprawiło się już bardzo wiele pod tym względem, lecz Polska, mając tyle do tworzenia i odrabiania za zmarnowane lata niewoli, nie może tak prędko wszystkiemu wydołać. Poza Rządem, który przez swoje Ministerstwo Oświaty troszczy się o sprawy szkolnictwa, powinni wszyscy obywatele uświadomieni dołożyć ze swej strony starań, żeby jaknajprędzej ta straszna cyfra analfabetów przemieniła się w radosną liczbę siedmiu miljonów ludzi, dla których i pisanie i czytanie przestało być czemś niepojętem.

Toteż jakby w odpowiedź na tamtą zawstydzającą nas wiadomość o nieuctwie ogromnych rzesz ludu, poszło po całej Polsce gromkie hasło, rzucone przez „Polską Macierz Szkolną“ w Warszawie: Niechaj każdy umiejący czytać, wyuczy sztuki czytania jednego analfabetę!

Pomyślcie, jakie by to było doskonałe lekarstwo na tę naszą chorobę ciemnoty!

Dzieci, i Wy jesteście obywatelami państwa. I do Was należy praca dla niego, praca dla dobra narodu. Gdyby każde z Was, co już czytać i pisać umiecie, przyswoiło tę umiejętność takiemu, który jej nie posiada, — spełniłybyście piękny czyn obywatelski, przyczyniłybyście się do podniesienia oświaty, pomogłybyście we wspólnym wysiłku przegnać precz mroki, jakie jeszcze tak szeroko zalegają naszą ukochaną Polskę. Wszyscy przecież pragniemy dla niej jak najwięcej światła, wierząc, że jeno w jasności prowadzić może droga do prawdziwego szczęścia i postępu. *Red.*

ZA KRZYŻEM

(Dokończenie).

Widziały trwożnych pogan, niepewnych jeszcze co im czynić należy, zapatrzonych w złociste stroje biskupów otaczających króla. Dojrzały też i postać starego kapłana pogańskiego, w wieńcu dębowym na głowie, jak przy wywróconym pniu własną ręką wylewał mleko, przeznaczone dla gadów. Krwią zachodziły oczy starca na widok walonych pod dębami ołtarzy, na widok porąbanych gajów świętych. Zdawało mu się, że cała puszcza wali się wraz z jej bogami, a na ogromnej, okiem nieogarnionej porębie dźwiga w niebo ramiona jedyne drzewo: Krzyż lacki.

Ten swój najdroższy krzyż widziały teraz i sieroty polskie. Niby cudowny sen ogarnął dusze dzieci na jego widok. Czyż bowiem ten krzyż, ten wielki krzyż, co im torował drogę w ciemną puszczę pogańską, nie wywiedzie ich teraz z poręby pogaństwa z powrotem w daleką, upragnioną Ojczyznę?

Wzrok królowej, oderwawszy się od obrazu Matki Bożej, ustawionego pod drzewem na dawnym ołtarzu pogańskim, padł przypadkiem na klęczącą parę sierot polskich. Po skończonym obrzędzie wezwała dzieci do siebie, a dowiedziawszy się o kolejach ich życ a, zapragnęła sama zastąpić im matkę.

W kilka miesięcy potem, wraz z orszakiem królewskim, wracała do kraju rodzinnego gromada jeńców polskich, wziętych do niewoli podczas ostatnich napadów litewskich. Może jednak nikomu z nich nie przyświecała w ciągu długiej podróży tak wyraźnie, jak Ludomirowi i Dobrochnie, jasna smuga światła, którą w dzień składały w wielki krzyż promienie słońca, a nocą srebrne blaski cicho płynącego po niebie miesiąca.

Koniec *Ela Oleska*

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy. z Borówki.
(Ciąg dalszy).

XV.

Przez sześć tygodni nie dopisałem ani słowa do tego swego dziennicżka podróży i pamiętnika. Powracam dziś do niego, jakby do dawnego przyjaciela, przed którym zwierzałem się ze wszystkiego w zaufaniu. Cóż za szkoda, że od dnia, w którym po raz ostatni, w kilka godzin po napadzie dzikich, zapisałem tu swoje wrażenia, nie mogłem przez tak długi czas nic notować w naszej podróży. Ale dopiero od kilku dni wiem dobrze, gdzie się znajduję, gdy cały czas przedtem nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się ze mną dzieje. Zaraz nazajutrz po napadzie dostałem gorączki, a w dwa dni później straciłem już zupełnie przytomność. Rozchorowałem się ciężko. Co mi było właściwie, alboż ja wiem! Opadły mnie zaraz rozmaite choroby, jako prawie nieuniknione dla Europejczyka następstwo ośmiomiesięcznego pobytn w wilgotnym lesie wschodnich nizin Ekwadoru.

Dogodziły mi jednak zapewne najbardziej strzały z łuków Polinezyjczyków, po których nastąpiło, na szczęście tylko częściowe i niezabójcze zakażenie krwi. Zresztą, miałem już ciało strasznie rozjątrzone oddawna ciągłem kłuciem moskitów i komarów. Miałem nogi owrzodzone skutkiem dwu strasznych plag kraju równika. Jednej na imię selemba drugiej nigua. Pierwsza — to kleszczyk czerwony, prawie okiem niedostrzzegalny; druga — to również malutka pchełka, która w podeszwę wświdrowawszy się, składa w niej jajeczka, a żeby ją z ciała wyjąć całą, trzeba robić umyślną ranę.

Dziś moje nogi już zdrowsze, ale zapewne długo nie wygoją mi się zupełnie, Prawa ręka jeszcze w bandażach. A po wewnętrznych chorobach czuję w całym organiźmie osłabienie i pewnie jeszcze nierychło odzyskam zdrowie. Wczoraj pierwszy raz po dwu miesiącach pisałem list do rodziców. Dziś zaś piszę już pewniejszą ręką. Siedzę w kajucie dużego statku parowego, którym płyniemy wzdłuż równika, napoprzek lądu amerykańskiego, przez Amazonkę. Płyniemy tak od kilku tygodni z biegiem rzeki na wspaniałych falach tego najobfitszego w wodę z wszystkich strumieni świata; płyniemy prawie od samych Andów poprzez Brazylję aż do ujścia Amazonki do Atlantyku.

Nawet nie wiem kiedy rozstaliśmy się z Fidżinosem i Tahitim, z naszemi ciężko objuczonemi mułami i w jakich okolicznościach dostaliśmy się na Amazonkę. Biedny pan Stefan musiał mieć wtedy ze mną niemało kłopotu i strachu, kiedy mu się tak ciężko rozchorowałem. Po długim czasie niewygód i prawie obozowego życia, otoczył mnie tutaj mój dobry opiekun wszelkiemi wygodami, jakie można mieć na dużym statku. Leżałem w osobnej kajucie, mając ciągle pomoc lekarską.

Kiedy od kilku dni wstaję już z łóżka i wiem, co się ze mną dzieje, nie mogę odżałować, że tej podróży nie odbywałem w zdrowiu, na pokładzie statku, podziwiając wszystkie jej uroki. Profesor mnie jednak pociesza, że kiedy tak dokładnie poznałem Palmal ekwadorski, nie straciłem tyle, ile sobie wyobrażam, nie oglądając ze statku brzegów Amazonki od początku podróży, ponieważ wszystko, cobym tu zobaczył w większych rozmiarach i tylko niemal w przelocie, tam już widziałem zbliska i miałem czas poznać szczegółowo — tylko na mniejszą skalę. Bo tam gdzie nas dzicy napadli, skończył się Palmal mniejszy, a tu, odkąd wsiedliśmy na statek, zaczął się Palmal podobny, tylko większy: Palmal Amazonki.

Przepływamy, na przestrzeni przeszło tysiąca mil, olbrzymią równinę, na której po obu brzegach rzeki ciągnie się dziewiczy las podrównikowy, gdzie drzewa są jeszcze wyższe i jeszcze grubsze od tamtych, jakie poznałem w naszej podróży po Ekwadorze; gdzie gąszcz jest jeszcze bardziej nieprzystępny, a mrok wieczysty; gdzie jest jeszcze gorącej i duszniej, jeszcze wilgotniej, niźli w tamtym Palmalu. Zanim dostaniemy się na Atlantyk, będę miał jeszcze chyba sposobność, gdy już całkiem wyzdrowieję, podziwiać ten las olbrzym nad rzeką olbrzymią. Ale już tylko z pokładu statku. Nie wiem czybym się odważył wejść znowu do takiego rajskiego ogrodu, po którym obok bajecznych wspomnień, zostaje człowiekowi tyle chorób trudnych do wyleczenia i na całe życie pozostawiających dotkliwe ślady — wiecznie odnawiające sie cierpienia. Patrzyć na to zdaleka, to takie piękne i czarowne. Lecz zbliżyć się nie można inaczej, jak tylko znowu wejść w te chmary strasznych owadów i wciągać w siebie wyziewy zabójcze.

A jednak kiedy się spotkam, gdy mi Bóg da szczęśliwie powrócić do kraju, z dawnymi kolegami, i opowiadać im będę, gdziem ja był, com widział, to mi każdy pozazdrości mimo wszystko. Bo też to cudny świat taki Palmal, po którym chodziłem i którego czarami napawałem oczy.

(*Dokończenie nastąpi*).



„Ciuciubabka" Obraz Franciszka Kostrzewskiego.

Ach „ciuciubabka" — zabawa paradna,
Wesoła i pocieszna, jako inna żadna.
Bezkarnie chwycić można nawet za warkocze,
Nim się „babcia" obróci, ja już w bok uskoczę.
Jak śmiesznie łapie pustkę w rozstawione palce,
Ze śmiechem wybuchają i starsi i malce.
Oj, „babciu — babciu", smutna dola twoja,
Lecz jeśli ty mnie złapiesz, taką będzie moja.

Rozwiązanie z numeru 49: Kuku. Kury. Kukuryku. Kukurydza. Rydza.